

## 50 lat na scenie

W roku ubiegłym minęło 50 lat od chwili, gdy popularny dziś aktor teatrów: Współczesnego i Narodowego w Warszawie — stawił pierwsze kroki na scenie. Obecnie rozpoczęto przygotowania do uroczystości jubileuszowych. W związku z tym zamieszczamy rozmowę ze znakomitym aktorem.

**WIDNOKRĄG:** Należy Pan dzisiaj do grona najwybitniejszych, najbardziej znanych i najbardziej popularnych aktorów sceny polskiej. Naszą rozmowę chcielibyśmy rozpocząć od przypomnienia czasów, kiedy dopiero rozpoczynał

działalność przyjezdne trupy aktorskie. Jeżeli nie tylko dale, starałem się dostać na przedstawienia, dawane przez te przyjezdne teatry, grałem także w szkole. Moje zainteresowanie prawdziwym teatrem musiało być dość duże, skoro w domu próbowałem inscenizować zapamiętane fragmenty przedstawień. Brałem deski do prasowania, kapy z łóżek, z tektury urządzałem dekoracje. Pamiętam kiedyś przyjechał teatr z przedstawieniem o groźnej nazwie „Czartowska lawa”. Otóż w jednym „przedstawieniu domowym” opartym na tej „Czartowskiej lawie” miałem się zabić. Wziąłem nóż i bojąc się, by nie zranił mnie w pierś, odwróciłem go trzonkiem. W rezultacie rozciąłem palec — pan Opaliński pokazuje bliznę na wskazującym palcu prawej ręki.

— Było to symboliczne pasowanie na aktora — dodaje z uśmiechem.

— Później grałem w działających w Przemyślu zespołach amatorskich: „Sokole”, „Gwiazdzie”, „Towarzystwie Kościuski”. W roku 1912 znalazłem się po raz pierwszy w teatrze zawodowym założonym przez jednego z adwokatów przemyskich. Grałem przeważnie epizody. Jak to wówczas często bywało, nasz teatr rozleciał się, ale jeden z aktorów stworzył własną trupę i z nią jeździliśmy po Małopolsce Wschodniej (przedstawienia: „Dla szczęścia” (Przybyszewskiego), „Sąsiadka”, „W gołębniku”).

Tymczasem wybuchła wojna: w roku 1915 jako żołnierz austriacki dostałem się po kapitulacji twierdzy przemyskiej do rosyjskiej niewoli. W Taszkencie i innych obozach jenieckich śpiewałem dla rodaków polskie piosenki, deklamowałem wiersze, niekiedy własnego pióra.

Gospodarz pokazuje spory tomik: zawiera on rękopisy wierszy, powstałych z tęsknoty za krajem.

— W roku 1918 wróciłem do Przemyśla i znowu do teatru: założył go obywatel węgierski — Gereb. Niestety, teatr ten szybko splajtował, po roku jego egzystencji dyrektora objął Cudnowski i on wystawił „Wesele” Wyspiańskiego. Grałem w nim Stańczyka, Michałowicza — poetę, a pana młodego Jan Nowacki. To było doskonałe przedstawienie, jeździliśmy z nim do Jarosławia, Rzeszowa, Przeworska... W roku 1920 zaangażowałem się do teatru lwowskiego i odtąd już straciłem kontakt z Przemyślem, miastem, z którym łączy mnie tyle wspomnień...

(Ciąg dalszy na str. 2)

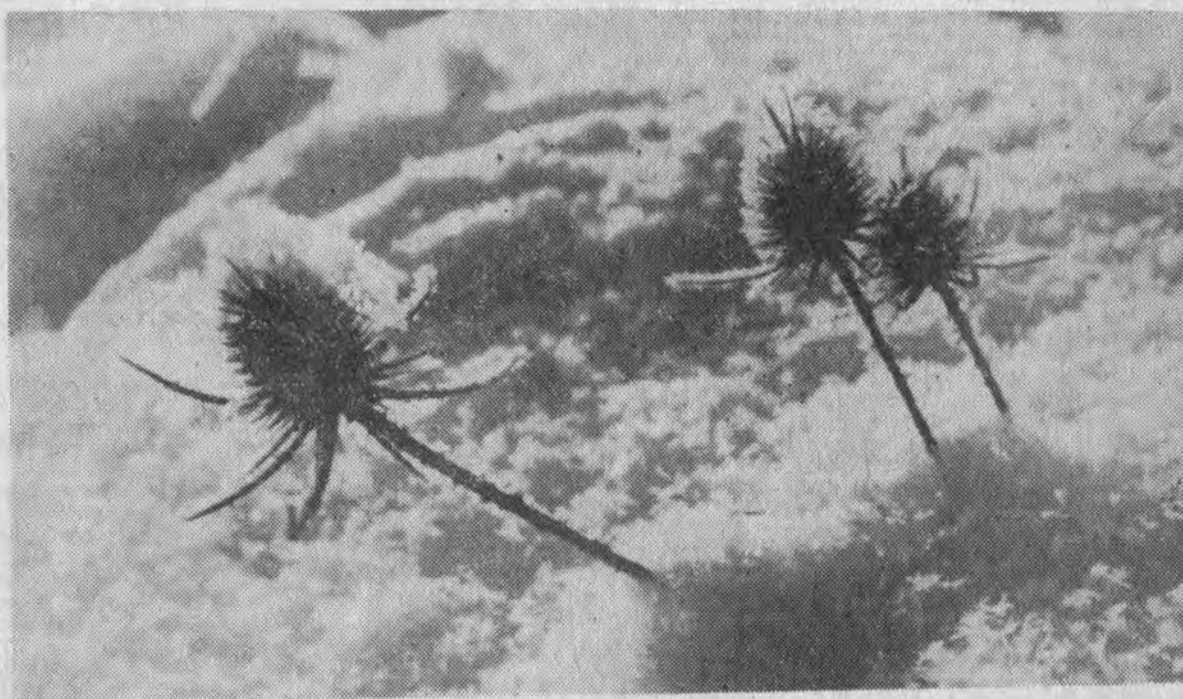


foto: J. OLMA

Na drodze do awansu i postępu (II)

## Między egzaminem wstępnym a dyplomem

„Systematycznie i uporczywie należy zmieniać niewłaściwy stosunek części zakładów pracy do pracowników studiujących. Zarówno dyrekcje, jak organizacje partyjne i zakładowe powinny czuwać nad przebiegiem studiów pracowników, interesować się ich wynikami i systematycznie udzielać im niezbędnej pomocy”. (Z referatu Biura Politycznego na XI Plenum KC PZPR).

czytelnia kierunków studiów, w szkole np. pracuje wykwalifikowany polonista, brak natomiast matematyka, a nauczyciele chcą studiować właśnie filologię polską...

Odpierając skargi uczących, administracja zakładów zasłania się koniecznością realizacji planów produkcyjnych oraz przepisami, komentowanymi często na niekorzyść pracownika (nota bene XI Plenum KC zapowiedziało zwiększenie ulg dla studiujących, a min. Golański zapewnił rzeszowskich studentów, iż przez Radę Ministrów i CRZZ wydana zostanie „karta praw studenta pracującego”). Dyrektorzy twierdzą ponadto, że studiujący przedwcześnie domagają się awansu, głównie w postaci podwyżek płac, gdy tymczasem kształcenie ich pochłania olbrzymie sumy. (Według niepełnych danych dyrekcji przedsiębiorstw woj. rzeszowskiego ufundowały w tym roku 638 stypendiów, przeznaczając na ten cel 2.809.263 zł).

Chcąc uzyskać w miarę obiektywny obraz warunków studiujących, skonfrontowałem opinię dyrekcji rzeszowskiej WSK i uczących się pracowników tego zakładu, z którymi spotkałem się w redakcji gazety zakładowej (za udzieleną mi pomoc dziękuję red. naczelnemu „Wiadomości Fabrycznych” kol. Zygmuntowi Klatce).

Pisałem przed tygodniem, że dyrekcja WSK dokłada starań, by blisko 1200 pracowników mogło podnosić kwalifikacje. Brak studenta (po uprzednim zobowiązaniu mnie do nieujawniania nazwisk) nie szczędził słów krytycznych, nie pomniejszając jednak bezsprzecznych osiągnięć zakładu. W rzeszowskiej WSK usunięto barykady na drodze wiodącej do awansu i postępu, lecz nie zlikwidowano jeszcze wielu zakrętów i wybojów. Uczący się muszą pokonywać różnorodne trudności.

Pierwsze z nich pojawiają się jeszcze przed złożeniem egzaminu wstępnego. Na podjęcie studiów pracownik musi uzyskać zgodę przełożonych. Jeśli podania nie podpisze jeden z dyrektorów, kandydat idzie do drugiego. A w WSK jest ich trzech. Dyrekcja uwzględnia zapotrzebowanie zakładu na danych specjalistów oraz możliwości finansowe. W WSK na szczęście nie występują zbyt jaskrawo sprzeczności między obiektywnymi potrzebami zakładu a indywidualnymi zainteresowaniami pracowników wybierających odpow-

(Ciąg dalszy na str. 2)

Ustawicznie powiększa się liczba uczniów średnich szkół dla pracujących oraz studentów wydziałów zaocznych i wieczorowych wyższych uczelni. To niewątpliwie pozytywne zjawisko nie może stanowić jednak podstawy do entuzjazmu, gdyż potrzeby gospodarki narodowej wymagają znacznie poważniejszego rozwoju tego szkolnictwa. Obejmowało ono dotychczas 27,1 proc. ogółu studiujących, dając 18 proc. absolwentów. Natomiast w bieżącym dwudziestolecu 35 proc. absolwentów uczelni mają wykształcić wydziały zaoczne i wieczorowe.

Osiągnięcie tego wskaźnika wymaga nie tylko poważnego rozwoju studiów dla pracujących, ale także podniesienia ich sprawności. Studia wieczorowe kończyło dotychczas około 40 proc. rozpoczynających, zaoczne — tylko 15 proc. A oto szczególnie drastyczny przykład. Utworzony w Rzeszowie punkt konsultacyjny jednej z wyższych uczelni warszawskich skupiał 36 słuchaczy I roku; studia zaś ukończyło zaledwie trzech. Do drugiego roku jednego z wydziałów Studium Wieczorowego WSI w Rzeszowie dojrzało 16 słuchaczy z przeszło 30 rozpoczynających, do trzeciego zaś — tylko pięciu. A przecież uczelnia ta należy do osiągniętych lepsze wyniki w kształceniu pracujących.

Jakie są przyczyny tak niskiej sprawności? Na spotkaniu studentów rzeszowskich z ministrem szkolnictwa wyższego H. Golańskim, I sekretarzem KW PZPR Wł. Kruczkim i sekretarzem CRZZ Cz. Wiśniewskim wypowiedziano całą litanię skarg na zakłady pracy oraz pretensji pod adresem uczelni.

Skargi dotyczyły głównie zakresu ulg świadczonych studentom. Ponadto w niejednym jeszcze przedsiębiorstwie ani administracja, ani czynniki społeczne nie wytworzyły atmosfery sprzyjającej podnoszeniu kwalifikacji. Często szef nie posiadający wykształcenia widzi w studiującym potencjalnego następcę.

Bardzo symptomatyczne są także wypowiedzi studiujących nauczycieli. W rozpisanej przez Zarząd Okręgu ZNP ankiecie zaliczył się m. in. na niedostateczne zaopatrzenie bibliotek w potrzebne im literaturę, brak pieniędzy na zakup niezbędnych podręczników, przeciążenie obowiązkami społecznymi oraz nieszanowanie przez administrację szkolnictwa przepisów określających ulgi. Niektórzy pisali wprost, że ich przełożeni przeszkadzają im w studiach. Gdy np. nauczyciel otrzyma obniżkę godzin, kierownik szkoły tak układa rozkład zajęć, że tzw. „okienka” praktycznie pochłania uzyskaną zniżkę.

Inspektorzy szkolni tłumaczą się brakiem pieniędzy na godziny nadliczbowe dla tych nauczycieli, którzy zastępują studiujących kolegów. Kierownicy szkół zaś popadają w panikę, gdy większość nauczycieli chce podjąć studia. — Kto będzie uczył? — pytają. Czasami sprzeciwiała się wybranemu przez nau-

foto: J. OLMA



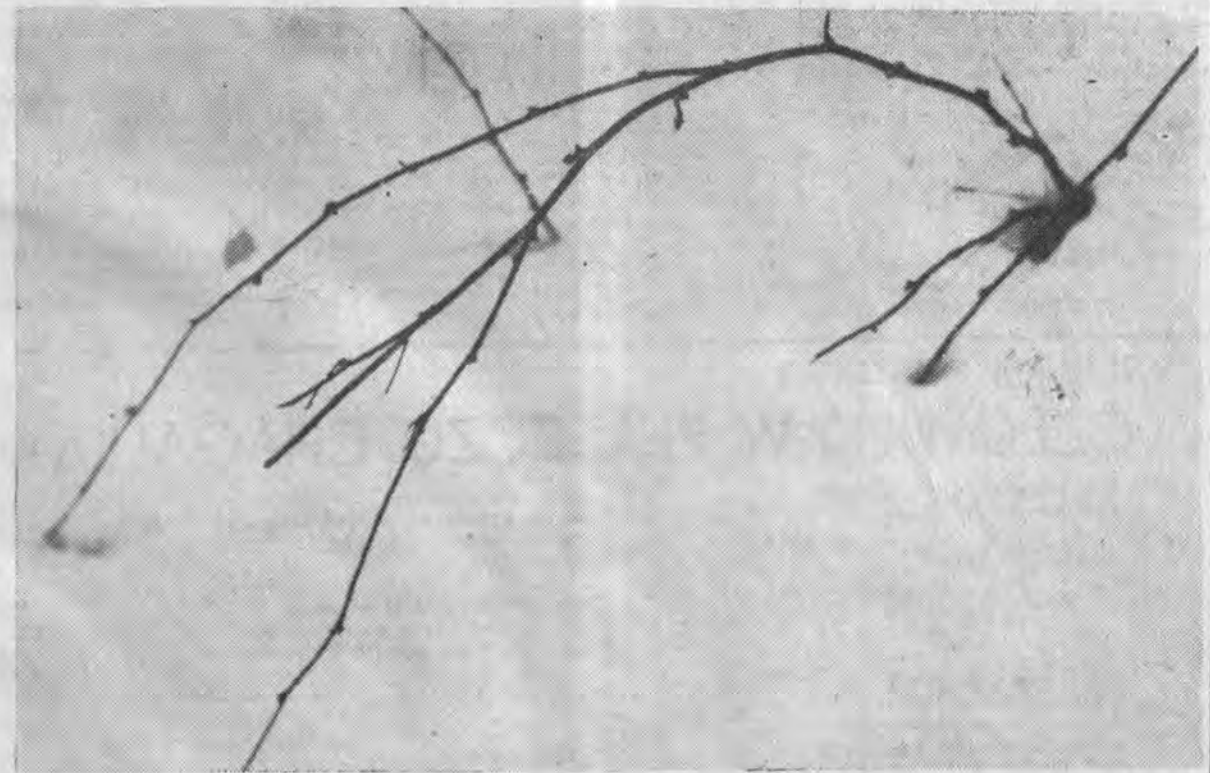
KAZIMIERZ OPALIŃSKI  
foto: K. KOMOROWSKI

Pan karierę aktorską. Wiadomo nam, że tamte czasy łączy Pana z jego rodzinnym miastem, Przemyślem.

**OPALIŃSKI:** Moje dzieciństwo i młodość spędziłem w pięknym mieście nad Sanem, w Przemyślu.

**WIDNOKRĄG:** Kiedy zrodziło się Pańskie zamiłowanie do sceny?

**OPALIŃSKI:** Trudno mi odpowiedzieć dokładnie na to pytanie. Pamiętam wszakże, że teatr fascynował mnie od najmłodszych lat. Przemyśl z pierwszych dziesiętników lat dwudziestego stulecia odwie-





# Między egzaminem wstępnym a dyplomem

(Ciąg dalszy ze str. 1)

wiedni kierunek studiów. Niemniej jednak studenci wydziałów humanistycznych nie cieszą się taką opieką jak przyszli inżynierowie. A studenci ekonomii czy prawo podkreślają korzyści, jakie mogą przynieść zakładowi. Przekonywają, że również ich argumenty o konieczności intensywnego kształcenia kadr w zakresie naukowej organizacji pracy.

W innych zakładach wzmiarkowa wyżej sprzecznosc często występuje bardzo jasnowidliwie. Rozsądni kierownicy przenoszą pracowników do działów, których charakter jest zgodny z wybraniem przez nich kierunkiem studiów. Wyrażają również zgodę na studiowanie pokrewnych dyscyplin. Ale zdarzają się formalistyczne, bezdusznie komentujące obowiązujące przepisy. Czym, poza ignorancją, złościwością, powodował się np. kierownik domu kultury uważający, że filologia polska nie jest potrzebna w bibliotekach, która pragnęła studiować tę dziedzinę wiedzy?

Niedostateczna jest jeszcze pomoc pracownikom przygotowującym się do egzaminów wstępnych. Kursy przygotowawcze należą wciąż do rzadkości i zająć się nimi winny stowarzyszenia zawodowe. Po kilkuletniej przerwie w nauce złożenie egzaminu wstępnego nie jest przecież łatwe, szczególnie na uczelnie technicznej. Ale prawdziwe trudności zjawiają się dopiero po rozpoczęciu studiów. Pracownicy WSK, i nie tylko oni, skarżą się, że otrzymywane urlopy nie wystarczają nawet na konsultacje i seminaria. Na przygotowanie się do egzaminów i złożenie ich poświęcają urlopy wypoczynkowe. Mają również poważne trudności z uzyskaniem urlopu wówczas, kiedy jest im niezbędnie potrzebny. Dziennikarz nie jest w stanie ustalić, czy zawsze spowodowały to trudności obiektywne. I w rzeszowskiej WSK wytworzyła się tzw. giełda studencka: kogo i w jaki sposób prosić o urlop, komu dać do podpisu delegację itp. Z zadróżką mówią o swych kolegach z Huty Stalowa Wola, którzy na egzamin i konsultacje wyjeżdżają zakładowym autokarem.

Moi rozmówcy marzą i o tym, by ich bezpośrednich przełożonych cechowała postawa dyrektorów, by nie traktowali studiów jako prywatnej sprawy pracownika. Z uznaniem natomiast mówili o kierowniku działu planowania mgr H. Gębce, który interesuje się osiąganymi przez nich wynikami, pomaga, radzi, zachęca do wytrwałości. To m. in. wpływa na atmosferę sprzyjającą podnoszeniu kwalifikacji.

Są wśród pracowników WSK tacy, którzy — ogólnie mówiąc — nie napotykały opisanych wyżej trudności. Pozostali nazywają ich protegowanymi.

Skarg tych jednak nie przedłożono dyrektorowi naczelnemu, nieznane mu są przejawy tego zjawiska, chociaż nie wyklucza ich istnienia. Ale dlaczego braci studencka, zamiast przeciwdziałać tym przejawom, płacze w kamizelce?

Księgozbiór WSK jest bogato wyposażony w literaturę techniczną, natomiast studenci na wydziałach humanistycznych oraz uczy się w liceach nie znajdując w niej niezbędnych książek. Szanujący się bibliotekarz zakładowy winien zakupować książki wyszczególnione w programach szkół i uczelni, na których studiują pracownicy. Złożyli zaś twierdzą, że poważnym osiągnięciem stało się wyposażenie biblioteki WSK w... fotole, które są solą w oku pewnych kierowników. Podobno dzięki nim zwiększyła się frekwencja w bibliotece (w godzinach pracy oczywiście).

Sporo skarg dotyczy warunków materialnych oraz mieszkaniowych. — Jakże mogę złożyć w terminie wszystkie egzaminy, skoro nie mam własnego kąta do nauki. Pracownicy WSK, nie tylko studenci, od lat skarżą się na brak stołówek zakładowej. Odczuwają to przede wszystkim zamieszkańcy, którzy z pustym żołądkiem idą na zajęcia w szkole. Nieracjonalne odzwierciedlenie przy zwiększonym wysiłku powoduje przecież groźne następstwa, o czym zresztą doskonale wiedzą lekarze zakładowi.

Dyrekcja WSK oraz organizacja partyjna i związkowa doceniają konieczność podnoszenia kwalifikacji pracowników. Ci jednak borykają się z poważnymi trudnościami. Możemy więc wyobrazić sobie sytuację studentów z tych zakładów, których kierownictwa widzą w młodych, ambitnych ludziach element niebezpieczny, skłonny do krytyki konserwatywnych metod pracy, potencjalnych kandydatów na stanowiska wymagające odpowiednich kwalifikacji.

Jednak brak dostatecznej opieki nad studium jest to tylko jedna z przyczyn niskiej sprawności studentów. Największy odśwież ma miejsce na pierwszych latach. Wielu po prostu nie umie pogodzić obowiązków służbowych z nauką, nie potrafi zmusić się do codziennej systematycznej nauki, nie zna metod samodzielnej pracy z książką. A braku wytrwałości nie zastąpi najbardziej troskliwa opieka.

Studenci krytykują również programy oraz metody kształcenia. Nie można zgodzić się z tymi, którzy domagają się taryfy ulgowej, którzy protestują przeciwko dyscyplinie studiów. Wielu domaga się nawet likwidacji pewnych istotnych części materiału. — Kształćcie nas na praktyków umiejących wykony-

wać konkretny zawód! Przeładowanie programu matematyką i innymi przedmiotami teoretycznymi utrudnia nam tylko studia — mówią. Natomiast przedstawiciele nowoczesnych zakładów domagają się od uczelni, by więcej uwagi poświęcały przedmiotom teoretycznym, by absolwent mógł pracować w pokrewnych dziedzinach, by nadążał za rozwojem techniki.

Słusznie jednak studenci domagają się uwzględnienia specyfiki studiów zaocznych, wydania dostatecznej ilości podręczników, starszego opracowywania skryptów, w których aż roi się od błędów. Potrzebne są im także przewodniki metodyczne ułatwiające samodzielną pracę. Zdarzają się wypadki, szczególnie na studiach zaocznych, nieliczenia się z realnymi możliwościami, głównie studentów pierwszych lat. **Postulat XI Plenum KC — by kontynuować pracę nad doskonaleniem metody studiów dla pracujących i ich unowocześnieniem — jest wciąż aktualny.**

Wytrwali, przewidywając wszelkie trudności, kończą studia. Wielu z nich opuszcza wówczas młocierzysty zakład. Dlaczego? Głównie dlatego, iż przełom nie chcą przyjąć do wiadomości, że dotychczasowy kolega Mazurkiewicz jest obecnie mgr inż. Mazurkiewiczem. Pragną oni awansować. Pracownicy WSK jeszcze przed ukończeniem studiów oczekują awansu w postaci podwyżek płac. Dyrektor naczelny inż. Janik twierdzi, że zakład dokłada starań, by tym ludziom powierzyć stanowiska zgodne z ich możliwościami. Dyrekcja nie bez racji uważa, że w wyniku podniesienia kwalifikacji, pracownik winien wydajniej pracować, w wyniku czego zwiększa się jego zarobki. Ale pewien pracownik WSK (czy tylko on?) tuż przed uzyskaniem dyplomu inżyniera, zajmuje jeszcze stanowisko robotnika wykwalifikowanego. Z proponowanego mu awansu nie skorzystał, gdyż straciłby 30 proc. zarobków. Uczę się 5 lat, możesz awansować, ale będziesz mniej zarabiał. To też nie mobilizuje do podejmowania studiów.

Kilkuletni okres między egzaminem wstępnym a otrzymaniem dyplomu wypełniony jest poważnymi trudnościami z których rozmiarów zdają sobie sprawę chyba tylko zainteresowani. Droga do awansu i postępu bywa często rzeczywistością wyboistą. Wciąż aktualny jest więc cytowany na wstępie fragment referatu Biura Politycznego na XI Plenum KC PZPR.

ZDZISŁAW KOZIOŁ

## 50 LAT NA SCENIE

(Ciąg dalszy ze str. 1)

WIDNOKRĄG: I wtedy to rozpoczęła się wędrówka Pana po teatrach. Dopiero w roku 1950 osiadł Pan na stałe w Warszawie. W okresie 50 lat pracy artystycznej stworzył Pan setki ról, wykazując przy tym zaskakującą wszechstronność: grał Pan we wszystkich gatunkach twórczości scenicznej, od farsy, groteski, do dramatu, tragedii... Obok ról głównych — równie chętnie podejmował Pan epizodyczne, traktując je z jednakową sumiennością, poważą. Czy próbował Pan kiedyś policzyć w ilu sztukach Pan występował?

OPALIŃSKI: To trudna sprawa, trzeba by dopiero policzyć, myśle, że galem 300—350 ról...

WIDNOKRĄG: W jaki sposób pracuje Pan nad rolą?

OPALIŃSKI: Przede wszystkim staram się opanować pamięciowo rolę. Gdy tekst jest opanowany, to wówczas włączam do niego rzeźbiarza glina, urabiam go, szukam w nim prawdy. Oczywiście pomaga tutaj i sam autor, który stworzył postać.

WIDNOKRĄG: Jaki gatunek twórczości scenicznej jest Panu najbliższy?

OPALIŃSKI: Najbliższy jest mi repertuar dramatyczny. Wyliczę tu kilka ról: Samuel w „Sędziach”, Pierzyczin w „Mieszczanach” Gorkiego, gospodarz w „Weselu”, Sokrates w „Obronie Ksantypy”, Morstina, wielki książę Konstanty w „Nocy listopadowej”, Stary Bill w „Music-hallu” Osborna itd.

Niezależnie od moich upodobań grałem i gram właściwie wszystko. Oczywiście dzisiaj już tylko postacie w odpowiednim wieku...

WIDNOKRĄG: Współpracuje Pan z telewizją, radiem i filmem? Co może powiedzieć Pan o tej współpracy?

OPALIŃSKI: Telewizja jest de-

bo nigdy się nie ma dość czasu na opracowanie roli, brak jest kontaktu z widownią, trudno jest aktorowi skupić się, przeszkadza przesuwanie kamer. W filmie brałem udział w realizacji około 40 filmów, ale i tu denerwujące jest czekanie, poza tym cała rola jest poszatkowana, trzeba grać na wyrywki, czasami od końca. Właściwie konkretna i najmielsza praca dla aktora to scena.

Radio? Udział w radiowej powieści „W Jezioranach” (rola Mateusza) daje mi ogromnie dużo satysfakcji. Mam duży kontakt ze słuchaczami, w miarę możliwości biorę udział w spotkaniach w klubach przyjaciół „Jezioran”.

WIDNOKRĄG: Nasza rozmowa zbliża się do końca. Pozwoli Pan, że w imieniu naszych czytelników złożymy Panu z okazji zbliżających się uroczystości jubileuszowych serdeczne gratulacje i najlepsze życzenia długich lat dalszej równie owocnej pracy.

OPALIŃSKI: Dziękuję bardzo. No cóż lata leca, a szczególnie szybko w starszym wieku. Najlepszym środkiem na długowieczność jest pogodny umysł. I tej dewizie jestem wierny. A poza tym ulubioną pracą, bez której nie wyobrażam sobie życia.

WIDNOKRĄG: Mamy nadzieję, że zaszczyty Pan swym występem przemyskie „Fredreum” w przygotowywanej przez nie „Zemście”?

OPALIŃSKI: Do Przemysła wybieram się od dawna, ale ciągle brak czasu. Zastąpiony teatr amatorski „Fredreum” zwrócił się do mnie za pośrednictwem szkolnego kolegi, pana Burnatowicza z propozycją gościnnego udziału w „Zemście” w roli Dyndalskiego i Rejenta. Propozycję przyjąłem z przyjemnością, ustaliliśmy już nawet termin, ale, niestety, wypadły mi inne pilne zajęcia. Nie oznacza

to jednak rezygnacji z zaproszenia. Cieszę się ze spotkania z publicznością mego rodzinnego miasta!

WIDNOKRĄG: I ostatnie pytanie: nad czym Pan obecnie pracuje?

OPALIŃSKI: Występuję w „Trzech siostrach” Cechowa w Teatrze Współczesnym, w „Na dnie” Gorkiego w Narodowym, próbuję Dziadka w „Grubych rybach” Bałuckiego, mam co tydzień nagranie w radiu... Otrzymałem nowe propozycje od filmu, zaproszono mnie do udziału w filmie, którego scenariusz oparty jest na „Farosie” Prusa (w roli arcykapłana Herhora i filmie opartym na książce „Pamiętnik znaleziony w Saragossie” Potockiego).

WIDNOKRĄG: Tak więc najbliższe tygodnie i najbliższe miesiące zapowiadają się bardzo pracowicie?

OPALIŃSKI: Tak, bardzo. Rozmawiał: ZBIGNIEW WAWSZCZAK

## WIESŁAW RUSTECKI

### CZŁOWIEK W PŁASZCZU CHAGALLA

Ten człowiek uleci w niebo  
Chagallowy ma płaszcz

jak welon

na furze chmur

z basetla  
kapelą  
gromem

jak ikona w świecach  
i niby skrzydce Hajfeca  
zapomniane w zajeździe —  
gwiazdą zaświeci gwieździe  
nad Jeruzalem i Sodoma  
Ten człowiek uleci w niebo

Zaginie

gdzie krematorium na burzy

znów się wynurzy  
krzew krzyży na cerkwi helmach  
sen się ostatni dopełnia  
w malignie —

Ten człowiek uleci w niebo  
pod końskie gęby na dachach  
gdzie dmucha cmentarz zwalony

w jarmulki  
liste ogony  
konwie strachu —

Już pierzecha  
już się oddala  
człowiek w płaszczu Chagalla  
i rannych skrzydłach jaskółki —  
Arnoldowi Śluciemu za Szagalowo

ADOLF JAKUBOWICZ

## LITOGRAFIE WŁODZIMIERZA KUNZA

W listopadzie i grudniu w foyer Teatru im. Wandy Siemaszkowej czynna jest wystawa litografii krakowskiego malarza i grafika Włodzimierza Kunza. Z tym krakowskim rodowodem polemizują co zagorzali lokalni patrioci podkreślając, że do Krakowa wyjechał on... z Gorlic, gdzie nawet w tamtejszym Muzeum Regionalnym są jego bardzo wczesne prace.

Włodzimierz Kunz mieszka dziś w Krakowie, tam zajmuje się pracą artystyczną i pedagogiczną na Wydziale Grafiki Akademii Sztuk Pięknych. Należy on dziś do najbardziej aktywnych twórców tego drugiego co do wielkości po Warszawie środowiska plastycznego w kraju.

Jego dorobek artystyczny jest imponujący, jeśli się zważy, że dyplom ukończenia ASP uzyskał on w roku 1954.

Kunz uprawia malarstwo sztalugowe, monumentalne, grafiki, rysunek. Jest członkiem krakowskiej grupy artystycznej MARG, której prace mieliśmy możliwość oglądać również w Rzeszowie.

W ciągu dziesięciu lat artystycznej pracy Kunz bierze udział we wszystkich wystawach ogólnopolskich i krakowskich okregu ZPAP.

W 1957 roku ma swą indywidualną wystawę w Warszawie, w roku 1961 — w Krakowie. Podejrzewam, że Włodzimierz Kunz uczestniczył chyba we wszystkich wystawach międzynarodowych polskiej grafiki w latach 1956-63. Wystawiał w Egipcie, Norwegii, Indii, Wielkiej Brytanii, Japonii, Syrii, Iraku, Szwajcarii, Islandii, Szkocji, Rumunii, Bułgarii i sam do-  
prawdy już nie wiem w wielu krajach... Bierze udział w szeregu światowych wystaw graficznych będąc jednym z reprezentantów polskiej grafiki współczesnej.

Otrzymał on za swe prace wiele wyróżnień i nagród.

Młody adiunkt z pracowni litografii profesora Konrada Szrednickiego z upodobaniem uprawia litografię. Wypowiada się w niej w sposób oryginalny i pełny. Litografia jest techniką graficzną, która zyskuje sobie obecnie dużą popularność wśród artystów różnych specjalności. Jest techniką bardzo „malarską”, stwarzającą wiele możliwości i szereg... niespodzianek.

Na wystawie rzeszowskiej pokazuje Kunz 20 swych litografii z lat 1960-1962. Kilka z nich to litografie barwne. Co jest cechą charakterystyczną wystawy? Są to prace, które przy całym temperamentem malarskim autora zachowały wiele dyscypliny i świadomego wyboru środków.

Nie ma wśród nich prac „puszczonych”, choć są prace różne. Kunz zna tajniki litografii, wykorzystuje w sposób bezbłędny możliwości kamienia i blachy litograficznej. Świetnie wykorzystuje możliwości kredki litograficznej w swych „Domach rysowanych kredą” i trawienie dużych płaszczyzn pokrytych tuszem w cyklu „portretów”. Dwaście wystawionych prac jest przykładem tych różnorodnych poszukiwań.

Grafika Kunza nie jest grafiką łatwą, choć nie należy przeceniać tego stwierdzenia. Są na wystawie prace, które działając syntetycznymi, bogato zróżnicowanymi fakturalnie płaszczyznami, nawiązują do pejzażu miejskiego i nie powinny stwarzać dla widza trudności w odbiorze.

Zaliczyłbym do nich „Domy i rusztowania”, „Osiedle pod kopcem”, „Drzewa w mieście”. Są na wystawie prace bardzo poetyckie, jak „Temat egzotyczny”, będący niewątpliwie reminiscencją wielkiej wyprawy Kunza do Egiptu.

Jest na wystawie „Ballada o kuchni polowej”, potraktowana z humorem i przymrużeniem oka, praca dość charakterystyczna dla Kunza



Fot.: M. KOPEĆ



CZESŁAW KŁAK

## „Mindowe” w Przemysłu



ZDUN (technika reliefowa)

Fot.: Jacek Fischer

I LEKROĆ spotykam się, szczególnie w sądach, z konfliktami ludzkimi, w których główną stawką są hektary, skrawki między lub po prostu kolek w płocie, ilekroć biorę do ręki akta rozpraw dotyczące sporów majątkowych, czynię to z wyraźnym uprzedzeniem. Już z góry niejako wiem, co zawierają.

Historia Jana Tęczy jest jednak inna, zupełnie inna od tego charakteru spraw rozgrywających się przed obliczem Temidy. Raczej nietypowa, na pewno nietypowa, powiedziałbym nawet wyjątkowa, ponieważ okoliczności towarzyszące właśnie tej sprawie tracą makabrę, a równocześnie zawierają elementy komizmu.

U dziadka Tęczy, który to dziadek akurat w dniu przybycia do Kalemby skończył 70 lat, kilka osób odczytywało petycję skierowaną do władz wojewódzkich.

Nastroj w izbie panował uroczysty, nikt się nie śmiał, bo nikomu nie było do śmiechu, wręcz odwrotnie — wszyscy chcieli pomóc starremu człowiekowi i z rozważa zastanawiali się nad każdym zdaniem, które z kolei biegły w piśmie uczeń ze stryżowskiego liceum przelewał na papier. Tylko dziadek Tęcza niespokojnie kręcił się na krześle wtrącając od czasu do czasu głośno swoje uwagi, bo — jak powiedział — dłużej już wstrzymać nie może i będzie szukał sprawiedliwości choćby w Warszawie, która nawiasem mówiąc widział po raz ostatni w 1912 roku.

Ludzie w izbie potakiwali głowami. Za oknem padał śnieg, a mróz wyczyniał harce na szybach ozdabiając je abstrakcyjnymi figurami.

— Było tak, złoteńki, że kiedy wysiadłem z pociągu, nikt na mnie nie czekał, choć zawiadomiłem siostrę o moim przyjeździe. Pomyślałem sobie, że chyba nie ma czasu, bo był to przecież okres żniw i ludzie w domach nie siedzieli. Potem padłem na kolana, schyliłem się i brałem wargami w usta grudki ojczyściej ziemi. Nie śmiej się złoteńki. Czterdzieści dziewięć lat mnie tu nie było.

Tak powiedział dziadek Tęcza i wskazał ręką dziennikarzowi petycję zaadresowaną do władz, która w tej chwili ukladła uczeń ze stryżowskiego liceum.

— Tu jest wszystko opisane. Od początku do końca. Tu się mieści moja krzywda.

Kobiety kiwały głowami.

— Mówiłem ci, złoteńki, że nikt nie wyszedł po mnie na stację i serce o to bolało. Pierwsza siostra, choć wiedziała, nie przyszła, bo nie chciała. Co jej po starym dziadzie. Druga znowu nie przypuszczała, że przyjadę, bo do niej nie pisałem. Szedłem więc polną drogą do kochanej siostrzyny, skowronek za-

wieszony hen gdzieś pod błękitną kopułą nieba witał mnie srebrzystym śpiewem, ciepło było i tak jakoś, że zdawało mi się jakby tak ubył kilkadziesiąt lat. Przypomniałem sobie jak to pewnego razu, o takiej porze, bawiłem się w pobliskim strumyku puszczając kamieniami kaczki, a moja matka prała na brzegu białiznę ostrzegając, bym nie szedł na głębie. Aż przyszedł ojciec i sprzął mnie po tyłku, bo nie miał kto podawać mu na wóz snopków.

Tak sobie idę, idę, aż nagle ktoś

gęby pozawiażywano i rozeszli się do roboty. A ja poszedłem do swojego domu. Ale wtedy moja siostrzyna zamknęła mi przed nosem drzwi...

— I psami poszczuła — powiedział chłopiec, który pisał petycję.

— Cicho smarkaczu, nie twoja sprawa — oburzył się dziadek. — Tak, puściła na mnie psy. Stała wtedy w oknie. Ja do niej: siostrzyna, co robisz? Ona: won tu z braku! Won skądżeś przyszedł! Ja: siostrzyna, co ci się stało? Ona: won, bo zawołał milicję! Zła była jak osa.

EDWARD WISZ

ŻYJE  
CZY NIE ŻYJE?

za mną krzyczy: Tfu! Tfu! Zgini i przepadnij, maro! A potem słyszę głośne słowa modlitwy: Włeczne odpoczywanie rącz mu dać panie...

Ki diabeł, pomyślałem sobie. Zarzy sobie stroja, czy co... Odwróciłem się i widzę kłęjącą staruchę. Była to moja koleżanka z lat szkolnych. Poznała mnie. — Stefa! — krzyczy. — Stefa! Opamiętaj się! A ta nie tylko odmawia pacierze za dusze w czyśćcu cierpiące i trzęsie się cała jak osika. Krzyczy więc jeszcze raz: Stefa, opętało cię coś czy co! Wstań! Ta dalej się modli. Kiedy chciałem się zbliżyć do niej, poderwała się i z wrzaskiem poleciała do wsi.

— Ona go wzięła za ducha — rzekł ktoś od okna.

— Tak, mój złoteńki, ona myślała, że to duch i strasznie się bała, choć ja też miałem nie mniejszego stracha od niej. Wyperswadowałem jednak sobie, że chyba babie pomieszało się w głowie i poszedłem w swoją stronę.

Patrzyłem, aż tu z pół pędzi mrowie ludzi i już z daleka słyszę głośne wołanie: Tęcza przyjechał! Tęcza przyjechał!

Ludzie obstąpili mnie ze wszystkich stron.

— Życie?

— Naprawdę życie?

— Nie umarliście?

I tak w kółko pytali. Najpierw oniemiałem, potem już mnie zaczęła cholera oślepiać.

— A wynoście się wszyscy do diabła! Bo jak któremu przyfastryguję...

— Oni też myśleli, że dziadek umarł — zawtórowały kobiety.

— Tak było — ciągnął Tęcza. — Później milczeli, jakby im szmatą

Milicja mi groziła. Polazłem do rady gromadzkiej i mówię: siostra zrabowała mój dom i nie chce mnie wpuścić. Pójdę na noc spać do drugiej siostry, ale jakim prawem ta baba tak się rządzi na moim, jak szara gęś? Nie powiem, w radzie pomogli mi. Siostrze zagroziłem sadem. Zmuszona była przeprowadzić się do swojej chaty.

Nazajutrz zacząłem dochodzić prawdy. Ciekaw byłem bardzo jak się to stało, że ludzie zrobili ze mnie nieboszczyka. I dowiedziałem się.

Kobiety przestały kiwać głowami.

— Cicho, dziadku, my teraz powiemy...

Dziennikarz otworzył notes.

— W 1914 roku dziadek Tęcza dostał wezwanie do asenterunku. Ojciec już wtedy podzielił majątek wśród dzieci, dając synowi dom i dwie morgi pola. Dziadek jednak wziął do wojska i poszedł się bić na front wschodni za cesarza.

— Anim razu nie strzelił.

— Cicho, dziadku, nie przerywajcie.

— Koło Lublina dostał się do niewoli rosyjskiej...

— Samiśmy się poddali... Był w naszym oddziale taki jeden gefreiter, Karaś się zwał, który jak zobaczył wychodzące z lasu wojska rosyjskie, plackiem rzucił się na ziemię a do nas krzyknął: chłopaki, poddajemy się! Komu życie miłe, za mną! Ściągnął kalessony, ułamał kawalek lesczynny i powiewając kalesonami niczym chorągwią przeszliśmy na drugą stronę.

Kobiety zrzędały, żeby Tęcza nie przeskądzał.

— Zjeżdżał cała Rosja. Był w Archangielsku i Władywostoku, w

się w konwencji naturalistycznej. Aranżerem przedstawienia obce były: skróty i synteza. Puchar z trzciną rzeczywiście był kryształowy, ofiara palona bogom litewskim miała zapach prawdziwego kadzidła, konwulsje przedśmiertne Lutuwaera i Mindowego przeciągały się ponad miarę. Mimo to poetyckość „Mindowego” została zachowana. Poezja emanowała ze sceny. Wydaje się, że zawiązujemy to wielkiej pasji, z jaką traktowali swoje role artyści amatorzy. Ich pełna wewnętrzna napięcia gra pokrywała nawet niedostatki dykcji.

Na szczególny poklask zasługuje Wanda Figałowiczowa w roli Rognedy. Siedemdziesięciokilkuletnia staruszka zagrała ociemniałą matkę Mindowego w sposób niezwykle skupiony, subtelny i liryczny. Od pierwszej do ostatniej sceny kierowała akcją dramatu pewnie i bezbłędnie. Umiała być dumna kapłanka pogańska, która strzeże dawnego obyczaju jako rekinem wolności i zgnębiona matka, która rzuca przekleństwo na wiażąc się z Krzyżakami syna. Niejedną aktorką sceny zawodowej mogłaby pozazdrościć Wandzie Figałowiczowej nie tylko talentu, ale kultury i swobody scenicznej. Nic dziwnego. Sędziwa miłośniczka sceny od pięćdziesięciu lat występuje na deskach „Fredreum”. Z okazji Jubileuszu warto przypomnieć jej artystyczne życiorys. Po raz pierwszy wystąpiła w roku 1910. Czuli się dobrze w rolach fredrowskich amantek. Grała Anielę w „Ślubach panieńskich”, Różę w „Dożywociu”, Zosię w „Dmach i huzarach”, Klarę w „Zemście”. Występowała rów-

nież w komediach Bałuckiego. Nieco później kreowała Joannę w „Nocy listopadowej” Wyspińskiego, Marię w „Warszawiance”, Maciusia w „Zaczarowanym kole” Rydla, Salomeę w „Horszyńskim” Stowackiego, Rollisonową w „Dziadach” Mickiewicza, Babkę w „Domu kobiet” Nałkowskiej, Pani Sörensen w „Niemcach” Kruczkowskiego. W sumie opracowała ponad 100 ról. Wanda Figałowiczowa występowała również jako śpiewaczka w operetkach. Mimo podeszłego wieku jest w pełni sił twórczych. Dowodem tego jest ostatni spektakl.

Obok Jubilatki w dramacie wystąpiła jej utalentowana córka, Maria Figałowicz-Nogowa jako Aldona. Dzięki dużej kulturze słowa i doskonałej sprawności fizycznej zdołała wydobyć istotne cechy odtworzonej postaci, proste, przywiązanie i szlachetną wytworność. Tekst poetycki podawała lirycznie z wyczuciem kadencji zdania. Dobra była zwłaszcza w scenach rozpacz i obłąkania po stracie ukochanego męża Dowmunda.

W rolach wrogich sobie mężczyźni wystąpili Tadeusz Ryzner jako Mindowe i Teofil Gruszczyński jako Krzyżak Hendenrich, legat papieski. W scenach zwarcia obaj pełni autentycznego napięcia i gniewu rozegrali je w dobrym tempie. Scenograf widowska i współreżyser — Jerzy Fida odtworzył równocześnie postać Trojnat. Jego warunki fizyczne predestynują go do tej roli. Jednakże w przedstawieniu premierowym miał jeszcze niedostatecznie opanowany tekst, co zważywszy na jego reakcję. W założeniu Słowackiego ten gniewny młodzieniec tryskał temperamentem.

Przedstawienie otrzymało udaną, przestronną oprawę plastyczną, utrzymaną w konwencji realistycznej. Stroje opracowane zostały z historyczną ścisłością przez Krystynę Czyńska i Michała Panka.

Juliusz Słowacki — Mindowe król N-towski. Obraz historyczny w pięciu aktach. Reżyseria: Maria Figałowicz-Nogowa i Jerzy Fida. Scenografia: Jerzy Fida. Kostiumy: Krystyna Czyńska i Michał Pank. Ilustracja muzyczna: Apoloniusz Czyński. Udział wzięli: Tadeusz Ryzner, Wanda Figałowiczowa, Teofil Gruszczyński, Jerzy Zahel, Maria Figałowicz-Nogowa, Jerzy Fida, Karol Trygalski, Aleksander Maresch, Edward Choma, Alojzy Matusiewicz. Premiera w Teatrze „Fredreum” w Przemysłu.

Badania  
nad pradziejami  
Rzeszowszczyzny

Rzeszowscy archeolodzy stanowią jedno z aktywniejszych środowisk twórczych, posiadają poważny dorobek w zakresie odkryć archeologicznych, a ich liczne prace naukowe wnoszą pewien wkład do tej dyscypliny wiedzy. Rzeszowski Ośrodek Archeologiczny współpracuje z Katedrą Archeologii Polskiej UJ, a ostatnio także z Katedrą Archeologii Piętnośnej i Wczesnośredniowiecznej UW.

Najważniejsze odkrycia ukazała ekspozycja w Muzeum Okręgowym wystawa pt. „Pradzieje Rzeszowszczyzny w świetle wykopalisk” obrazująca kulturę materialną ludów pierwotnych i społeczeństw wczesnośredniowiecznych od około 50 tys. lat p.n.e. do XIII wieku n.e. Rzeszowscy archeolodzy zorganizowali ponadto wystawę obładową pt. „Rzeszowszczyzna w zarysie dziejowym”.

Wyrazem uznania dla osiągnięć ROA i Oddziału Polskiej Towarzystwa Archeologicznego było zorganizowanie w Rzeszowie wiosną br. Walnego Zjazdu PTA oraz sesji popularnonaukowej poświęconej pradziejom Rzeszowszczyzny. Podsumowaniem tegorocznego dorobku ROA jest wydane ostatnio „Sprawozdanie Rzeszowskiego Ośrodka Archeologicznego za rok 1963”. W publikacji tej — kierownik Katedry Archeologii Polskiej UJ prof. dr. Rudolf Jamka, wybitny znawca pradziejów ziem południowo-wschodniej Polski, sprawujący naukowe kierownictwo ROA — opublikował syntetyczny artykuł pt. „Prace wykopaliskowe prowadzone w rejonie rzeszowskim w 1963 r.”. W br. Rzeszowscy archeolodzy zbadał około 150 stanowisk, dokonując 63 odkryć nie notowanych dotychczas w literaturze archeologicznej. Prace prowadzone na stanowiskach pochodzących od czasów górnopaleolitycznych aż do wieków wczesnośredniowiecznych.

M. in. na Osiedlu Piastów w Rzeszowie dokonano ciekawych odkryć z epoki neolitu. W wzdłuż Wisły i Sanu zaś znaleziono sporo zabytków kultury luzyckiej. W Chodorówce odkryto aż 105 grobów.

Artykuł prof. dra Jamki jest nie tylko ciekawym opisem dokonanych odkryć, ale stanowi przede wszystkim naukowe podsumowanie badań, zawierające wiele cennych wskazówek dla badaczy terenowych. Autor pozytywnie ocenia dorobek ROA, „Z materiałów wydobytych z ziem pradziejowych rzeszowskich i współpracujących z nimi reprezentantów ośrodków krakowskiego i warszawskiego — pisze prof. dr. Jamka — wynika, że nasza znajomość pradziejów południowo-wschodniej Polski znacznie się rozszerzyła”.

W „Sprawozdaniu” opublikowano ponadto liczne artykuły i informacje, których autorami są: K. Moskwa, J. K. Kozłowski i S. K. Kozłowski, T. Aksami, M. Gędl, A. Jędrzejewski, J. Janowski, A. Szalapski, J. Wielewiewski, A. Kwoltek, A. Kunysz, A. Talar i Z. Kaperka.

Z. K.

Moskwie i Kijowie. Pracował w lesie, budował drogi i mosty, ujeżdżał konie. Po rewolucji zamieszkał w Zaporoziu na Ukrainie, tam się ożenił i rozpoczął pracę w kolarstwie.

Tymczasem w Kalembinie życie płynęło, jak w innych wioskach. Zmarł ojciec Tęczy, w kilka lat później matka. Jedna siostra wyjechała do Francji. Pozostały we wsi dwie: Maria i Bronisława, które w niedługim czasie wyszły za mąż.

Z młodszą Marią dziadek utrzymywał kontakty pisząc do niej listy, na które mu jednak nie odpisywała i które niszczyła. Maria już bowiem wtedy miała chrapkę na jego majątek. Czekala tylko na sprzyjający moment.

Gdzieś przed samą II wojną światową Maria występuje do sądu grodzkiego we Fryszaku z wnioskiem o uznanie brata za zmarłego. Podstawia fałszywego świadka, który zeznaje, że przebywając czasowo w ZSRR spotkał się z Janem Tęczą w szpitalu. Będąc ciężko chory przed śmiercią miał go prosić, żeby cały majątek przekazać po nim Marii. Sąd przychylił się do wniosku siostry. Ale wtedy dowiaduje się o tym Bronisława i niespodziewanie zjawia się w sądzie.

— Ludzie, co robicie! — woła. — Przecież mój brat żyje! Miesiąc temu dostalam od niego list. Pisz, że jest zdrowy i jak uskłada trochę pieniędzy to przyjedzie do Kalemby. — Gdzie ten list? — pyta sędzia. Kobieta pokazuje. Sędzia zawięza rozprawę.

Potem przyszła wojna i wszystko poszło w zapomnienie. O fryszackiej rozprawie niewiele jednak wiadomo. Maria w dalszym ciągu puszcza po wsi plotkę, że brat umarł. Wprowadza się do jego domu i jak dawniej uprawia jego pole. W tym roku dziadek przyjechał na dwa miesiące do kraju, żeby wreszcie uporządkować sprawy własnościowe. Swoją majątek chce przekazać siostrzeńcowi. Spór trafił do sądu w Strzyżowie. Podobno jednak w starych księgach parafialnych obok nazwiska Tęczy, dopisano dwa słowa — nie żyje.

U dziadka Tęczy, który wkrótce z powrotem wyjeżdża do ZSRR, kilka osób jeszcze raz odczytywało petycję skierowaną do władz wojewódzkich. Śnieg przestał padać i mróz nieco zelżał.

Dziennikarz zamknął notes, pojechał i wyszedł na pole. Na drodze dogonił go dziadek.

— Więc jak to jest, proszę pana, żyje czy nie żyje?

— Jeżeli prawda jest, co ludzie mówią, to urzędowo pan nie istnieje, a faktycznie — tak.

— A które ważniejsze: to faktycznie — jak pan powiedział — czy urzędowo.

Teraz z kolei reporter milczał.



# POLSKI PORTRET KRÓLEWSKI

13 bm. została otwarta w Muzeum w Jarosławiu wystawa: „Polski portret królewski”, zorganizowana przez Biuro Naukowo - Oświatowe Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu i staraniem Muzeum w Jarosławiu. Jest to jedna z licznych wystaw obywatelskich, jakie eksponowane były od roku 1953 w Jarosławiu, Rzeszowie, Przemyśle, Sanoku, Krośnie, Łańcucie i innych miastach Polski, w ramach współpracy międzykulturalnej prowadzonej przez Wawel.

Celem wystawy jest z jednej strony pokazanie wizerunków królów polskich, widzianych oczyma współczesnych im artystów, z drugiej zaś strony przedstawienie portretu królewskiego w jego rozwoju na tle różnych epok. Na wystawie zgromadzone są dawne portrety olejne królewskie, kopie oryginałów stare i współczesne, oryginalną grafikę oraz wiele artystycznych fotografii dzieł graficznych i nagrobków królewskich. Wystawę uzupełniają odlewy najstarszych pieczęci i medali z wizerunkami królów.

Najstarsze wyobrażenia królów naszych znajdują się na monetach XI i XII wieku. Są to umiarkowane wizerunki Bolesława Chrobrego i Bolesława Śmiałego, ujęte z profilu w sposób bardzo uproszczony. Na średniowiecznych pieczęciach, poczynając od XIII wieku królów przedstawiano w całej postaci na tronie z odznakami władzy monarszej. Jednak za pierwszy indywidualny portret królewski w Polsce możemy uznać dopiero rzeźbę postaci Władysława Łokietka z nagrobka w katedrze wawelskiej. Duża fotografia twarzy tego króla znajduje się na wystawie obok analogicznych zdjęć portretów nagrobkowych Kazimierza Wielkiego, Władysława Jagiełły i Kazimierza Jagiellończyka. Nagrobki te, o bardzo wysokim poziomie artystycznym, są dziełami nieznanymi nam rzeźbiarzy. Jedynie postać Kazimierza Jagiellończyka wyszła spod dłuta Wita Stwosza — twórcy ołtarza w Kościele Mariackim.

Z okresu Odrodzenia posiadamy bogaty zespół portretów królewskich wykonanych w różnych technikach, uprzednio nie stosowanych w średniowieczu. Powierzchnie spotykamy jest olejny portret na płótnie, portrety graficzne wykonane techniką drzeworytniczą, okazy sztuki medalierskiej i rzeźba. Portret renesansowy oddaje w pełni cechy indywidualne modelu, wygląd zewnętrzny, charakter, majestatyczność. Do grupy dzieł wyżej wymienionych zaliczyć należy portrety ostatnich Jagiellończyków. Reprezentacyjny portret królewski, którego przykładem jest nowa kopia obrazu malowanego przez Marcina Kobera, przedstawia-

jąca króla Stefana Batorego, wywarł wpływ na ukształtowanie się specjalnego typu szlacheckiego portretu zwanego „sarmackim”.

Wiek XVII przynosi dalszy rozwój technik zwłaszcza graficznych. Powszeczenie uprawiany jest miedzioryt, który z niezwykłą precyzją oddaje nie tylko najdrobniejsze szczegóły rysów twarzy, lecz pozwala na subtelne modelowanie formy za pomocą światła i cienia. Misterność portretu widoczna jest także na ówczesnych modelach i monetach. Natomiast w malarstwie przeważają formy duże, dynamiczne. Bardzo popularny i lubiany w epoce baroku jest portret zbiorowy. Na wystawie znajduje się jeden przykład takiego dzieła, mianowicie oryginalna grafika francuskiego artysty Ludwika Gascara, przedstawiająca rodzinę króla Jana Sobieskiego. Popularna postać zwycięzcy spod Wiednia uwidoczniona jest także na innych portretach. Portrety osiemnastowieczne to podobizny Stanisława Leszczyńskiego, Augusta Mocnego i Augusta III oraz ostatniego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, przedstawione w dziełach olejnych i graficznych.

Obfity materiał zgromadzony na wystawie daje galerię ważnych postaci historycznych związanych z dziejami Polski. Pozwala też na przedstawienie tak interesującego zjawiska w sztuce, jakim jest rozwój portretu.

KRYSTYNA KONOPKA  
STANISŁAWA BOLESŁAWSKA

## WIDNOKRAG odpowiada

„Nastolatek” z Łańcuka: Wiersze bardzo młodego i naiwne może świadczyć o umiarkowanej literaturze przez autora, ale nie ukazuje żadnych możliwości twórczych w dziedzinie poezji. Może pamiętnik lub opowiadanie, o których piszecie, bardziej nas zainteresują.

Ob. F. R. — Cetula, pow. Jarosław: Z wierszy, niestety, nie skorzystamy. Naszym zdaniem, nie mają one wartości artystycznych. Są to rymowane pogawędki, a nie utwory poetyckie. Jeśli nasza opinia Wam nie wystarcza, prosimy wysłać swoje utwory do innych redakcji. Specjalnej poradni dla amatorów literatów chyba w kraju nie ma. Nie istnieje także związek pisarzy amatorów, o który pytacie.

Ob. A. R. — Majdan Królewski: Wiersze Wasze mówią o sprawach oczywistych, o prawdach banalnych — nie w nich nie ma nowego, odkrywczego, oryginalnego. Forma utworów niedojrzała i dość nieudolna. Proszę na razie nie liczyć na sukcesy w tej dziedzinie.

WZDÓW. Pałacyk, skryty w otaczającym go drzewostanie nie odstrasza już wyglądem swoich nadszarpniętych zębem czasu murów. Nowa elewacja zewnętrzna z daleka rzuca się w oczy przyby-

szą. Ale nie estetyczny wygląd budynku i porządek, jaki tutaj zapanał — dzisiaj nas szczególnie interesuje. Uniwersytet Ludowy Związku Młodzieży Wiejskiej, który tutaj znalazł pomieszczenie, rozpoczął piąty z kolei rok swej działalności. Po raz drugi rozpoczyna pracę o nowym profilu organizacyjnym. Pora więc, znając konkretne wyniki ubiegłorocznego szkolenia, skonfrontować pierwszy okres działalności z tym co jest obecnie i co wchodzi w sferę tak zwanego planowania na najbliższy okres.

A zmiany nastąpiły radykalne. Przez trzy lata odbywały się tutaj siedmioletnie kursy szkolenia aktywu organizacyjnego.

Studenci skazani byli na występowanie wykładów, uczestniczenie w dyskusjach, spotkaniach z działaczami, poetami, literatami, specjalistami od higieny i wsi i od budowy silosów. Ponadto grali, śpiewali, tańczyli...

Prawda, temu nikt nie ma zamiaru zaprzeczać, była to duża szansa zdobycia przez młodzież porządnego zasobu wiedzy, ogólnej ogłady towarzyskiej, poznania różnych dziedzin sztuki, zetknięcia się z atrakcyjnymi ludźmi... Ale w sumie było tego wszystkiego za dużo naraz.

Już sama rekrutacja na UL mogła nastręczać zastrzeżenia co do właściwego doboru studentów. Kandydat musiał się decydować na siedmioletni pobyt we Wzdowie, a więc poza domem. Nie

wszyscy mogli sobie na to pozwolić. Nie można zapominać, że wielu młodych, aktywnych członków wiejskiej organizacji młodzieżowej — to również ręce potrzebne do pracy w ojcowskim gospodarstwie. Dlatego nie wszyscy, którzy na to zastępowali, mogli się tutaj dokształcać. Wobec tego w wysokim stopniu procentowo zjeżdżała do Wzdowa młodzież poniżej lat 18, by ten siedmioletni kurs zakończyć jako odskocznik od pracy w mieście.

## JULIAN WOŹNIAK

# BLIŻEJ ŻYCIA

Dowodem na to niech będzie fakt, że 80 procent absolwentów UL ze Wzdowa nie wróciło do swoich wiejskich środowisk, podejmując pracę głównie w miastach powiatowych. Dwie absolwentki zdecydowały się nawet na profesję kelnerek.

A nie o to przecież chodziło! Przeciwnie — celem działalności Uniwersytetu Ludowego ZMW było dokształcanie młodzieży, która by później stała się inicjatorem wszelkich kulturalnych i gospodarczych poczynań właśnie w środowiskach wiejskich. Niestety — tylko w nielicznych przypadkach cel ten został osiągnięty.

Toteż dobrze się stało, że z inicjatywy Zarządu Głównego ZMW diametralnie zmieniono profil działalności Uniwersytetu. Odrzucono tradycyjne programy nauczania, zastępując je programami przystosowanymi do wymogów chwili. Obecnie o przyjęcie na Uniwersytet mo-

że się ubiegać młodzież, która ukończyła już 18 rok życia, a więc młodzież zasadniczo już zaangażowana w pracy na wsi. A to w poważnym stopniu gwarantuje jej powrót do środowiska...

W tej chwili na UL we Wzdowie trwa 20-dniowy kurs, zorganizowany dla członków ZMW, pracujących w

tego dnia poświęcają na samokształcenie i udział w zajęciach kulturalno-oświatowych.

Jeszcze w grudniu rozpoczyna się we Wzdowie nowy kurs. Tym razem uczestniczyć w nim będzie młodzież, która zadeklarowała chęć pozostania na wsi, która prowadziła będzie własne gospodarstwa. Są to członkowie

radach narodowych. Podczas gdy Wojewódzka Rada Narodowa organizuje kursy szkoleniowe dla sekretarzy GRN — ZMW zajął się o przeszkolenie referentów. Chodzi głównie o to, by młodemu pracownikowi rady narodowej, który jest jednocześnie członkiem organizacji, pomóc w jego pracy. Toteż program kursu przewiduje przedyskutowanie takich problemów, jak: udział młodzieży w pracach rad narodowych, współdziałanie rady narodowej z kołem ZMW w zakresie przedsięwzięć gospodarczych i kulturalno-oświatowych, czy wreszcie — postawa młodego radnego wobec obywatela — interesanta. Nietrudno odczytać podtekst tego ostatniego zagadnienia: wyczerpanie urzędnika państwowego na wszelkie dotychczasowe niedomagania w zakresie etyki. Rzecz zrozumiała, młodzi kursanci uczestniczą w licznych spotkaniach z działaczami partyjnymi, przedstawicielami władz wojewódzkich, prawnikami, a pozostałe godziny pracow-

z tzw. klubów młodych rolników i młodzieży, która ukończyła szkoły przysposobienia rolniczego. Zasadnicze tematy szkolenia związane są ściśle z gospodarką rolną. A więc: mechanizacja, ochrona roślin, zdołanie prawa jazdy na ciągniku i co się z tym wiąże nauka obsługi maszyn towarzyszących. Dla dziewcząt przewidziano wykłady z zakresu higieny i higieny osobistej.

Tu warto nadmienić, że powyższe tematy absolutnie nie wyczerpują programu. Trzeba bowiem pamiętać, że kursanci to ludzie młodzi, ale posiadają już podstawowe wiadomości (absolwenci szkół p. r.) z tych dziedzin, które wymieniliśmy. Toteż organizatorzy szkolenia zakładają pogłębienie i utrwalenie tych zagadnień, a po osiągnięciu powyższego zamierzają rozszerzyć wykłady z zakresu wiedzy ogólnej.

Niepodobna w tym miejscu nie wspomnieć o tym, że Uniwersytet Ludowy ZMW we Wzdowie posiada

## Zdarzenia TYGODNIA

Zespół teatralny ZDK w Stalowej Woli przystąpił do pracy nad adaptacją powieści Juliana Kawalca pt. „Ziemniaki”. Reżyserem, a zarazem odtwórcą roli głównej, jest Józef Zmuda.

Trzy spotkania autorskie odbyły w Zakładowym Domu Kultury w Stalowej Woli reportażysta — Wojciech Dworczyk. Tematem spotkań były problemy afrykańskie.

Najmłodszy czytelnik ze Stalowej Woli spotkał się z ZDK z autorką książek dla młodzieży M. Cholemską. Tytuł spotkania „To dla was napisalam”.

Od połowy listopada w PGR Stare Siolo, pow. Lubaczów, przebiega na stypendium Ministerstwa Kultury i Sztuki pisańca Krystyna Nepomucka, autorka m. in. powieści „Małżeństwo niedoskonałe” i „Rozwód niedoskonały”. Pisarka zapoznaje się z życiem i pracą pracowników Państwowych Gospodarstw Rolnych, zbierając materiał do nowej powieści.

W lokalu Związku Polskich Artystów Plastyków w Rzeszowie odbył się kolejny „czwartkowy wieczór różnów o sztuce”, organizowany przez Biuro Wystaw Artystycznych. Odczyt na temat filozofii rewolucyjnej sztuki XIX i XX stulecia wygłosił profesor ASP w Krakowie dr Włodzisław Hodyś. Czwartkowe wieczory wzbudzają b. duże zainteresowanie.

W kilku zakładach pracy woj. rzeszowskiego zorganizowano wystawy malarstwa i rysunku artystów plastyków naszego województwa. Akcją ta zainicjowana przez ZPAP, WKZZ i BWA spotkała się z dużym zainteresowaniem i dlatego będzie kontynuowana i rozszerzana.

W Rzeszowie trwają przygotowania do otwarcia galerii malarstwa współczesnego, która najprawdopodobniej znajdzie pomieszczenie w salach ZPAP. Ostatnią komisją złożoną z przedstawicieli Wydziału Kultury WRN, ZPAP i BWA wybrała 20 obrazów artystów plastyków rzeszowskich, które zostaną zakupione dla ekspozycji.

Teatr Słowa „Meluzyna” przy Zakładowym Domu Kultury rzeszowskiej WSK wystąpił ostatnio w Domu Kultury Radzieckiej i Teatrze Dramatycznym Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie z „Wasyliem Tiorinem na tamtych ścieżkach” Aleksandra Twardowskiego w scenografii i reżyserii Erazma Buchelta i oprawie plastycznej Stanisława L. Ramockiego.

Warto zaznaczyć, że „Wasyli Tiorin” w wykonaniu rzeszowskiego zespołu został wyróżniony w listopadzie br. w Poznaniu na przeglądzie sztuk rosyjskich i radzieckich zorganizowanym z okazji Dni Nauki i Kultury Radzieckiej.

Chóry i zespoły instrumentalne podległe Zjednoczeniu Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych przygotowały się obecnie do Wojewódzkiego Święta Pieśni, które odbędzie się w lipcu przyszłego roku z okazji 20-lecia Polski Ludowej. Według przewidywań organizatorów, udział w imprezie weźmie ok. 1.000 osób, zrzeszonych w 22 zespołach.

Przedsiębiorstwo Państwowe „Dom Książki” w Rzeszowie przekazało nowe pawilony księgarskie w Czudcu, Frzysaku, Tyczynie i Sieniawie. Jeszcze w tym roku oddane zostaną kolejne w Cieszanowie, Fruchniku, Birczy, Baligródzie i w Rzeszowie — Staromieście. Warto więc zanotować że stała tendencja rozwoju sieci punktów upowszechniania książki, a szczególnie dlatego, że nowe placówki powstają w małych miasteczkach i wsiach.

duże gospodarstwo, które w czasie trwania kursu zostaje pod nadzorem młodzieży. Rządzi nim samorząd kursantów, a to przysposabia przecieć do życia kolektywnego. Ale nie tylko gospodarstwo... Młodzież rozporządza całym majątkiem Uniwersytetu, wyposażeniem, kuchnią, magazynami... Młodzież odpowiada za wszystko. Dyrekcja i wychowawcy stanowią tylko czynnik kontrolny nad właściwością stosowanych form rządzenia.

Słowem — zmiana, zasadnicza zmiana profilu nauczania wyszła tej popularnej placówce szkoleniowej na dobre. Przybliżyła ją do potrzeb życia. A o to przecież chodzi.

Porównując działalność Uniwersytetu na przestrzeni pięciu lat trzeba wspomnieć także o tym, że przez trzy pierwsze lata działalności UL zamykała się kłamrą siedmiu miesięcy od listopada do maja. W miesiącach pełnego lata, a więc w miesiącach niezwykle atrakcyjnych, gmach UL zamykano na cztery spusty. Obecnie przez pełne dwadzieścia miesięcy w roku gwarno i rojno w pięknym parku, okalającym wyremontowany pałac. W okresie lata organizuje się tutaj wiele kilkudniowych kursów, obozów szkoleniowych — wypoczynkowych, a także udostępnia wolne pokoje tym wszystkim, którzy jako turyści, szukają we Wzdowie nocygów, lub krótkiego relaksu na świeżym powietrzu.

\* Piliśmy o tym w poprzednim numerze „Widnokragu” — art. J. Rajtacza „Ze Wzdowa w świat”.